



Na Pamirach i w pustyni Raskiemu.

(Dokończenie).

Z ptaków najwięcej ubiliśmy górskich kurek i dwie odmiany dzikich himalajskich indyków. Kurki trzymały się zawsze w miejscowościach skalistych, parami lub niewielkimi stadkami po 5—6 sztuk. Indyki, naodwrot, na wysokich łagodnych przełęczach, porośniętych małą trawą górską, wygrzewały się na słońcu w zacisznym od wiatru miejscu stadkami po 15—20 sztuk. Jesienią indyki te ważyły do 12 funtów, a były tak tłuste, że dawały około 200 gramów czystego tłuszczu, dającego nam możliwość wypiekania placków, które przy braku wszelkiego chleba smakowały nam wybornie. Do upieczenia placków potrzeba było znaleźć parę płaskich kamieni i możliwie rozpalić je; potem placki, ugniecione z mąki z wodą i tłuszczem, kładło się na kamień, przykrywało z wierzchu kawałkiem blachy od konserw i zasypywało żarzącymi węglami i gorącym popiołem; po 15—20 minutach placki były gotowe, naturalnie trochę przypalone, trochę przysypane popiołem, lecz wyborne w smaku.

Ciągłe obcowanie z przyrodą, konieczność zwracania bacznej uwagi na każdy ślad w celu zdobycia zwierza lub ochrony własnego życia i bezpieczeństwa koni, które niosły nas i nasze bagaże, wyrobiły w nas wprost bajeczną spostrzegawczość. Dla zobrazowania jej opowiem następujące zdarzenie.

Dążąc ciągle w górę, wzdłuż rzeki Raskem Darji, zatrzymywałem się w miejscowościach, gdzie wpadały dopływy, zbiegające z Himalajów, lub gór Raskemskich i zostawiwszy obóz, w celu zaoszczędzenia koni, sam z jednym kozakiem i krajowcem, szedłem wgórę dopływu aż do źródeł, określając w ten sposób główną oś danych gór. Polowałem na wszystko co się dało i obciążony zwierzyną, często po kilkudniowej nieobecności, wracałem do obozu.

8 listopada st. stylu, po nadzwyczajnie trudnym marszu (gdyż rzeka płynęła wąwozem, między wysokimi skałami i w ciągu jednego dnia musie-

liśmy 16 razy przeprować się wbród z jednego brzegu na drugi) — doszedłem do miejscowości Bazar-Dara (3704 m.), gdzie na łące, wśród zarośli tamaryszku, zatrzymaliśmy się na nocleg. Mrozy już trzymały się na — 20 C. Rzeczka pokryta była krą, która strasznie utrudniała przeprowy wbród. Przemokliśmy sami i przemoczyliśmy nasze juki. Postanowiłem zatrzymać się na tem miejscu na dzień, żeby się osuszyć i określić astronomicznie — gdzie jesteśmy.

Podczas gdy ludzie moi rozbijali obóz — wziąłem trójłufowy karabin, który zawsze nosiłem, i ruszyłem w wąwoz wychodzący z północy. Naraz, przechodząc przez strumyk, zauważyłem na wyschniętym błocie najwyraźniejsze ślady kopyta końskiego. Byłem stropiony. Przeszło miesiąc, jak rozstałem się z kirgizami Dangnyn-basza i od tego czasu nie widziałem śladu ludzkiego. Najbliżsi sąsiedzi Kańdzuci nie mają koni. Tybetańczycy nie znają podków. Znaczyło to więc, iż mogli tu być tylko Anglicy lub Chińczycy. A że największym wrogiem takich ekspedycji jak moja mogli być ludzie postanowiłem zbadać tę sprawę dokładnie. Ponieważ człowiek musi jeść i spać, więc wezwałem kozaka i pojechaliśmy we dwóch w górę rzeczki, szukając miejsca postoju. I rzeczywiście o kilka kilometrów zauważyłem polankę a na niej ślady ogniska. Zsiedliśmy z koni i na kolanach przeszukując trawę polanki znaleźliśmy strzępek banderoli rosyjskiej od papierosa i gilzę od ładunku do karabina Berdana. Nie było wątpliwości, że miejscowość tę zwiedził ktoś z ekspedycji Tybetańskiej pułkownika Piewcowa, o której wiedziałem, że wyruszyła prawie równocześnie ze mną, dążąc do Tybetu, lecz pojęcia nie miałem, gdzie ta ekspedycja mogła być w obecnej chwili. Jeżeli była jeszcze w Kaszgarji, to w każdym razie przechodziła o jakieś 400 kilometrów bardziej na północ odemnie. Znajdąc osobiście skład Tybetańskiej ekspedycji, doszedłem do przekonania, że tak daleko

zboczyć od głównej drogi mógł tylko geolog wyprawy, inżynier K. Bohdanowicz (obecnie prof. Akademii Górniczej w Krakowie i prezes Polskiego Towarzystwa Geograficznego w Warszawie), który oczywiście mógł mieć ze sobą przyrządy astronomiczne i zapewne określił geograficzne koordynaty.

Byłem w podróży już kilka miesięcy i miałem ze sobą tylko 2 chronometry, które naturalnie ulegały wielkim wstrząśnieniom. Spotkawszy się z kapitanem Yunghesbandem — skorzystałem z 3 dni, które ekspedycja jego gościła u mnie i parę razy określaliśmy razem miejsce spotkania, wskutek czego moje prace astronomiczne nawiązałem do astronomicznych spostrzeżeń angielskich. Gdyby obecnie udało się odszukać miejsce obserwacji inż. K. Bohdanowicza — i zrobić na tym miejscu swoje, to ogromne marszrutowe zdjęcie i cała sieć astronomicznych punktów moich byłyby związane z topograficznymi robotami Tybetańskiej ekspedycji oraz angielskimi, a co zatem idzie stanowiłyby całość dla określenia geografii tej zupełnie nie znanej części Azji.

Postanowiłem iść śladem inż. Bohdanowicza.

Zostawiwszy ekspedycję w Bazar-Dara i dawszy kapralowi informacje, co miał robić, gdybym po 2—3 tygodniach nie wrócił, wziąłem ze sobą dwóch ludzi, juki z przyrządami oraz prowizję i 9 listopada ruszyłem w drogę.

Na trzeci dzień przeszliśmy łagodną przełęcz Kukalang (4971 metrów), gdzie pasły się stada papajów i stadka dzikich osłów i spuściliśmy się ku źródłom rzeki Kulan-aryk, dopływu tejże Raskiem-Darji. Przed nami wznosiły się prostopadłą ścianą zawalone śniegiem góry przez które zdawało się nie możliwym przedostać.

Orjentując się w sytuacji zauważyłem świeże ślady i pomiot domowych owiec i bydła. Odszukaliśmy stada i pastuchów, którzy dawno nas już widzieli, lecz pochowali się, i od nich dowiedzieliśmy się, że właśnie przed nami jest przełęcz Tachta-Korum, wiodąca ku źródłom rzeki Tiznaff, której wody giną w pustyni Gobi oraz, że za przełęczą mieszkają górale wśród których w sierpniu gościł jakiś rosjanin z kozakiem. Ponieważ mowy nie było żeby na koniach o tej porze roku przejść przez przełęcz, więc najęliśmy jaki, które idąc powoli, ale pewnym krokiem po pokrytych lodem zboczach góry, 13 listopada dotarły na przełęcz Tachta-Korum (5.399 metrów).

Następnego dnia byliśmy już wśród koczowniczych sympatycznych górali. Nocowałem w domu, gdzie trzy miesiące temu nocował ktoś z członków Tybetańskiej ekspedycji.

Określiwszy geograficznie koordynaty i zebraawszy ciekawe etnograficzne dane o tym niezna-

nym szczepie górali, których przodkowie zamieszkali dolinę Raskiem-Darji i opuścili ją wskutek ciągłych napaści Kandzutów, napisałem list o tych przejściach do Zarządu Towarzystwa Geograficznego i odesławszy go przez górali do konsula rosyjskiego w Kaszgarze, inną drogą pospieszyłem do ekspedycji. Znowuż musiałem przejść cały szereg przełęcz. Dopiero 20 listopada wróciłem do swoich towarzyszy, znalazłszy ich w wielkiej trwodze o moje losy.

W marcu następnego roku spotkałem w Chotanie (w Kaszgarji) inż. K. Bohdanowicza i od niego dowiedziałem się, że przypuszczenia moje były zupełnie słuszne: w sierpniu ubiegłego roku dochodził do doliny rzeki Raskiemu.

Tak więc zaschłe ślady podkutych koni doprowadziły do poważnych rezultatów naukowych. Jeszcze jeden epizod.

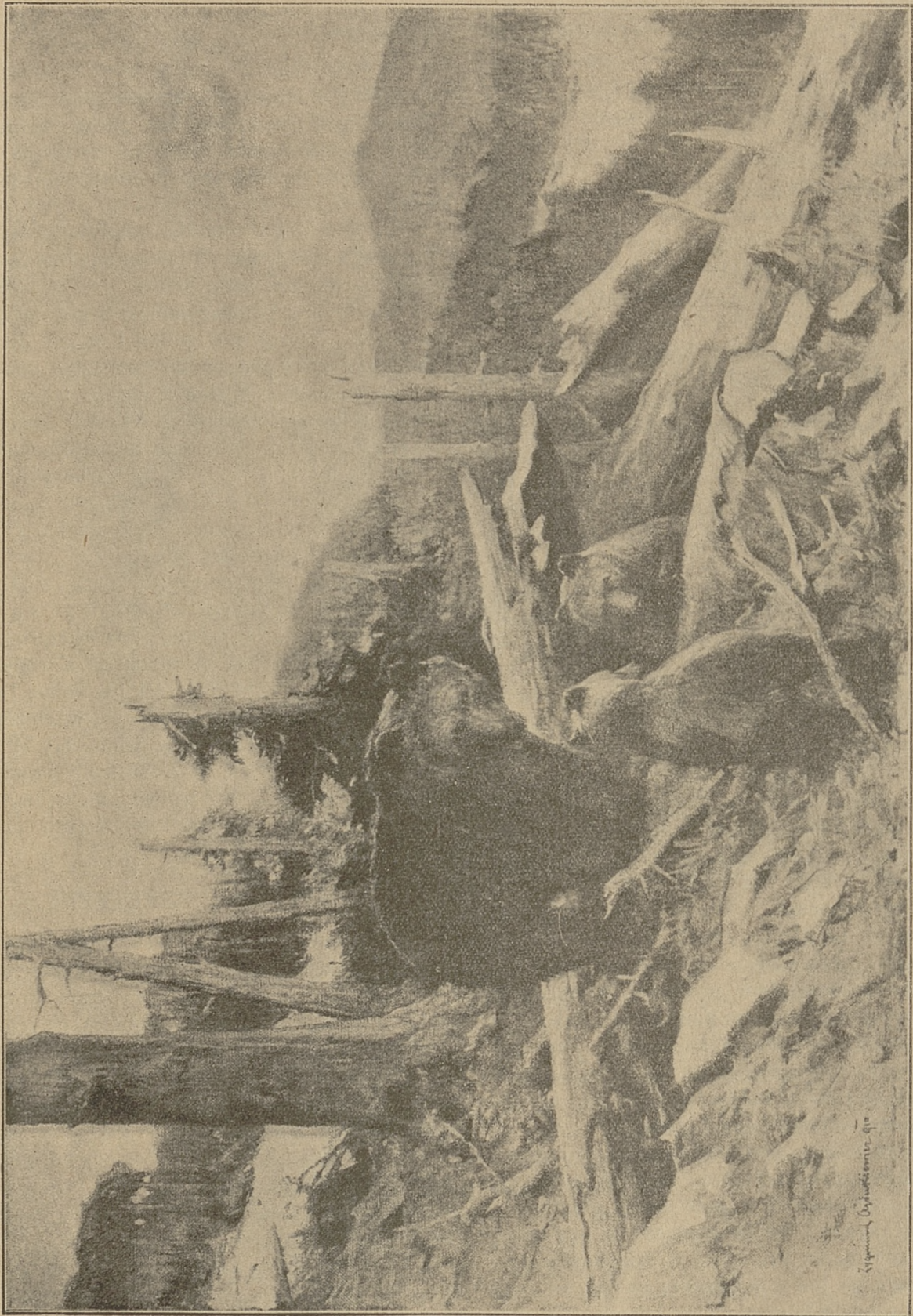
Wracając do ekspedycji, na przełęczu Tiapes (4.424 m.) dzielącej dwa źródła rzeki Tiznaff, najnie spodziewanej znalazłem olbrzymie stado indyków górskich. Bure opierzenie ich tak odpowiadało ogólnemu kolorowi miejscowości, że, spojrzawszy mimochodem w stronę, gdzie wygrzewało się na słońcu stado indyków, wziąłem je za bure kamienie. Dopiero kiedy kamienie poruszyły się i poczęły na piechotę uciekać zorjentowałem się, co mam przed sobą. Do stada było co najmniej 300 kroków; biegnęło ono w tak zwartej masie, że skrzydła z trudem rozpościerało. Błyskawicznie zeskoczyłem z konia i schwyciwszy karabin kozacki, padłem na ziemię i dałem strzał leżąc, wprost w biegnącą masę, która jeszcze od ziemi oderwać się nie zdołała.

Po strzale zostało na przełęczu 7 sztuk. Z nich 3 zabite (jednej kula głowę zerwała), a 4 ranne poczęły uciekać w różne strony. Dwie dopędziliśmy i wzięli, a dwie inne runęły w przepaść i zginęły nam z oczu wśród odłamków skalnych. Wiele sztuk zbito się w jedno stado — nie wiem. Może 400—500, a może i więcej, gdyż siedząc tuż przy sobie zajęły dużą polankę. Tak wielkiego stada, nawet w przybliżeniu, — nigdy już potem nie widziałem. Zdobycz była cenna, gdyż indyki były nadzwyczaj tłuste i smaczne.

Przybywszy do obozu spreparowałem skórki i przy pierwszej sposobności odesłałem do Akademii Nauk w Petersburgu, a niedawno dowiedziałem się, że starszy zoolog Akademii Nauk, W. Bianchi znalazł w nich nową odmianę i nazwał indykiem Kuen-Luńskim mego imienia¹⁾ — (*Tetraogallus himalayensis grombaczewskii*).

Gen. Bron. Grombaczewski.

¹⁾ Sinoptičeskija tablicy ochotniczych ptic S. Buturlina. Izd. Władimirskoj typografji. S-Peterburg 1901 goda.



Wydawnictwo „Głos” w Warszawie

Z. AJDUKIEWICZ.

NIEDŹWIEDZIE.

KROGULEC.

(*Monografia myśliwsko-przyrodnicza.*)

OGÓLNA CHARAKTERYSTYKA PTAKA, GRANICE ROZSIEDLENIA.

Najbliżej spokrewniony z jastrzębiem gołębiarzem jest Krogulec; możnaby go nazwać obrazowo „wnukiem” gołębiarza. Nietylko z upierzenia, ale z całego sposobu życia, a przede wszystkim, ze sposobu polowania przypomina Krogulec zadziwiająco swego większego krewniaka. Dorasta tylko do jednej trzeciej wielkości tamtego. W pościgu za zdobyczą jest może nawet bardziej zapalczywy: jeśli jej nie może pochwycić z nienacka, to goni aż do zupełnego wyczerpania. Widziałem raz, jak uderzył na wróbla i ścigał go w gałęziach drzewa, zmusił do opuszczenia konarów, latał za nim dookoła krzaczka i schwytał w końcu na ziemi. Nie liczył się przytem wcale z moją obecnością, choć stałem zaledwie kilka kroków od miejsca śmiertelnych zapasów.

Gdy byłem małym jeszcze chłopcem, lubiłem łowić szczygły w samotrzask. A miałem raz pięknego samczyka i doskonałego wabca. Wpuściłem go do samotrzasku i wyniosłem do sadu w pobliże rosnących gęsto ostów, na które siadały stadka innych szczygłów. Zawiesiwszy klatkę na gałęzi jabłoni, wróciłem na małą chwilę do mieszkania, by przynieść sobie książkę i umilić czytaniem długie chwile oczekiwania. Gdy wkrótce wybiegłem z domu, zauważyłem ze zdumienia, że samotrzasku niema na drzewie. Spieszę więc na miejsce i spędzam z klatki, leżącej na ziemi, krogulca z moim szczygłem w szponach... Wykorzystał moją nieobecność, spadł na klatkę, zwałił ją z drzewa i wyciągnął z niej ptaszka. Któż by policzył moje łzy, które wtedy za szczygłem wylałem? Zdarzenie to wbiło mi się swą grozą w pamięć tak dalece, że je sobie i dzisiaj ze szczegółami mogę odtworzyć. Od tego czasu począłem pilnie studjować życie tego małego drapieżnika i żaden jego rys charakterystyczny nie uchodził mojej uwagi.

Krogulec poluje na wszystkie ptaki, począwszy od młodych kuropatw i przepiórek, a skończywszy na małych czyżykach i wogóle na te stworzenia, które zmóc potrafi. Żaden z ptaszków nie może być nigdy pewny swego życia w sąsiedztwie krogulca. Napada na nie o wczesnym świcie, w ciągu dnia i o zmroku, a uderza niespodzianie, gdy ptak siedzi na drzewie, ściga go w locie i podejmuje łup z ziemi.

Jak gołębiarz ceni nadewszystko kuropatwy i jest od nich specjalistą, tak znowu krogulec poluje z zamiłowaniem i z maestrją na wróble, zwłaszcza na te mniejsze, pospolicie „mazurkami” zwane.

Upolowanego ptaszka, oskubuje z grubsza i zjada w całości, nic — prócz piór — nie zostawiając na miejscu żeru.

Raz tylko zauważyłem z jego ucztę głowę, pestkojada, której nie połknął może dlatego, że stanowiła wraz z grubym dziobem zbyt duży kasek.

O szybkości lotu krogulca świadczy fakt, że chwyta w powietrzu ruszone kszyki. Miałem nieraz sposobność podziwiania tej jego zalety w polowaniach na błotach. Goniąc za kszukiem, starał się zawsze wzlecieć nad niego, a gdy zamiar swój osiągnął, doganiał wnet długodzioba i chwytał z nadzwyczajną wprawą w szpony.

Krogulec występuje jako ptak osiadły w całej Eurazji i w Afryce. Spotyka go się również często na wysokiej północy, na skałach Skandynawji, na Murmanie, w tundrach Europy i Azji, jak i we Francji, w Niemczech i w Polsce i w Rosji, jak wreszcie w północnej Afryce, w Mezopotamji, w Persji, w Mongolji i w Chinach. W świecie Nowym — w Ameryce i w Australji zastępują go pokrewne gatunki. Wędrówek nie odbywa, albo rzadko, a przebywa najchętniej w tych miejscach, w których się wylągł.

WYGLĄD ZEWNĘTRZNY.

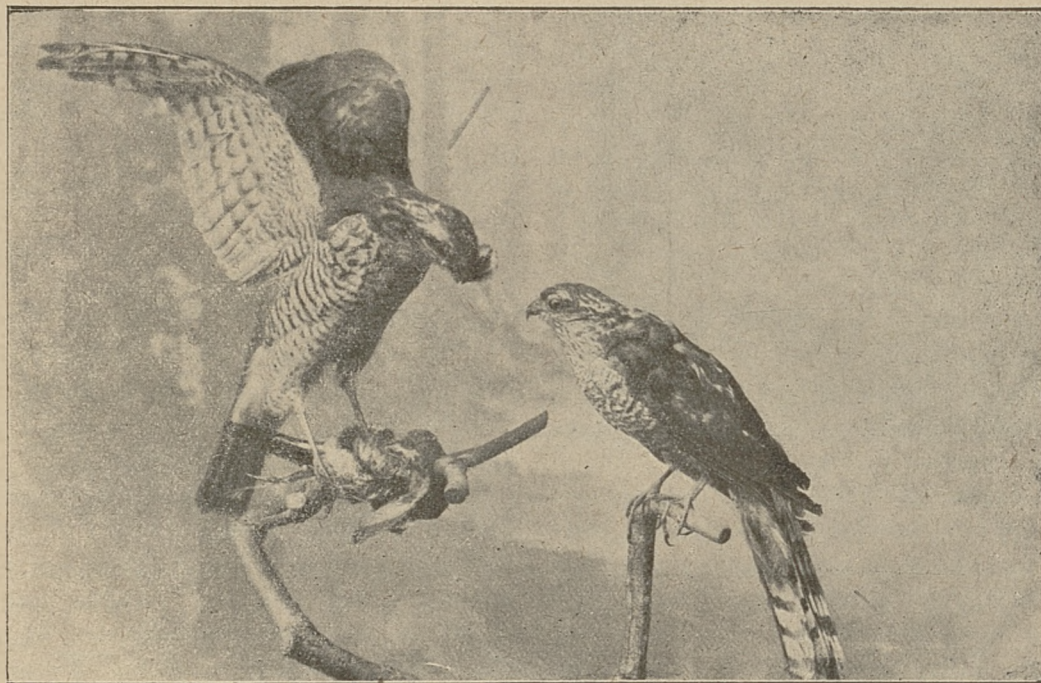
Krogulec, wróblarz, *falco nisus*, *astur nisus*, *accipiter nisus*, *nisus communis*, *fringillarius*, *jerax fringillaruis*, *sparvius*, jest wybitnie drapieżnym ptakiem i należy do najzwinniejszych i najzgrabniejszych w rodzinie skrzydlatych drapieżników.

Rozpada się na kilka podgatunków, różniących się nieco wielkością, upierzeniem, a raczej zabarwieniem pierza tak na grzbiecie, jak i na piersiach. Może być ono z wierzchu ciemno lub jasno popielate z modrawym albo brązowym odcieniem, poprzeczne zaś prążki na piersiach mogą być ceglasto-czerwone, jasno lub ciemno brązowe, cieńsze lub grubsze, zależnie od wieku, płci i warunków życiowych osobnika. Zasadnicze jednak motywy budowy ciała, jego ogólne kontury, wreszcie zwyczaje krogulca są zawsze i wszędzie takie same. Do bardzo charakterystycznych cech

w ubarwieniu krogulca należy to, że cały ciemny jego płaszcz t. j. wierzch głowy, szyi, grzbietu, skrzydeł, kupra i ogona odcina się prostą linią od jaśniejszego spodu t. j. od podgardla, szyi, piersi i całego podbrzusza. Szczegół ten w upierzeniu ptaka wpada od razu w oczy. Krogulec jest pięknie zbudowany. Żadna część jego ciała nie razi dysproporcją. Między wielkością głowy, długością szyi, a wymiarami tułowia zachowana jest harmonja. Nawet może nieco za długi ogon nie razi u niego wcale, a przynajmniej nie tak, jak za krótki ogon u sokoła wędrownego.

Krogulec dochodzi do wielkości gołębia domowego, ale jest smuklejszy. Długość ciała od dzioba do końca ogona mierzy od 35 cm do

górną i dolną i błoną migawkową, płoną one żądzą mordy. Żuchwa, złączona ze szczęką górną za pośrednictwem kostki kwadratowej. Dziób krótki, zgrabny, z górną szczęką hakowato zgiętą o krawędziach bardzo ostrych. Dolna szczęka kończy się lejkowato i wchodzi dokładnie w zakrzywienie górnej. Brakuje zupełnie zęba w górnej i odpowiedniej szczyrby w dolnej szczęce. Cały dziób jest koloru stalowego, z nagą zielono-żółtą woskówką, w której widać podłużne otwory nosowe, osłonięte delikatnymi włoskami. Zaopatrzona obficie w nerwy i w naczynia krwionośne jest woskówka wrażliwa na dotyk. Może właśnie dlatego nie pozwala się krogulec pogłaskać po głowie. Otwory uszne, ukryte w pierzu za oczami, wysłcone po-



KROGULCE.

40 cm, rozpiętość skrzydeł 65 cm, długość jednego skrzydła 22 cm, a długość ogona 15 cm. Samica bywa znacznie większa. U starych sztuk grzbiet jest ciemno popielaty, a spód ciała jasny z poprzecznymi prążkami ciemno lub jasno brązowymi — u samca cieńszymi, u samicy grubszymi, tworzącymi na stosinie trójkątne plamki. Ogon sześć razy poprzecznie prążkowany, z wierzchu ciemniejszy, równo ucięty o 12 sterówek, jaśniej obrzeżonych. Dorosły krogulec waży do 35 dkg.

Głowę ma małą, na ciemieniu spłaszczoną, osadzoną na cienkiej, ruchliwej szyi. Okryta jest krótkimi, przylegającymi do skóry piórkami koloru stalowo-popielatego z jaśniejszymi pręgami ponad oczami. Oczy duże, okrągłe z tęczęwką pomarańczową, opatrzone podwójnymi powiekami —

marszczoną wewnętrzną małżowiną, prowadzą do znakomicie urządzonego aparatu słuchowego.

Paszczka szeroka, rozcięta, język czerwony i gruby, pokryty u nasady zadzierzystemi brodaweczkami; może ona przełknąć duże kawały mięsa. Tułów krogulca spoczywa na wysokich, ale wątych nogach, okrytych od pięty tarczkami, koloru brudno żółtego, upierzonych puszystymi piórami do połowy podudzia. Skok kończy się czterema palcami, z których trzy zwrócone są naprzód, a jeden, zwany kciukiem, w tył. Palce są trzyczłonowe, spięte u nasady błoną, widoczną między wewnętrznym, a średnim palcem, a zakończone, cienkimi, długimi i ostremi szponami. Nogi są doskonale przystosowane do siadania i utrzymywania się na gałęziach, tudzież do chwytania łupu, a to dzięki

świetnie rozwiniętym mięśniom udowym. Do chodzenia po ziemi natomiast mniej się nadają. Krogulec skacze; kroczyć t. np. jak wrona, nie umie.

Wspaniałe okazy tego ptaka i różne jego odmiany oglądać można w muzeum przyrodniczym im. Dzieduszyckich we Lwowie, jedynym w Polsce, a może i w Europie.

ANATOMJA KROGULCA.

Pod skórą, w której tkwią pióra, widzimy doskonale rozwinięte mięśnie, szczególnie na piersiach; są one dźwigniami dla skrzydeł. Przyczepione są wszystkie do mostka, a raczej do jego uwypuklenia, zwanego grzebieniem. Mostek okrywa z przodu klatkę, piersiową, a do jego bocznych krawędzi przyrosnięte są żebra. Mostek i kręgosłup złączony z czaszką za pośrednictwem dźwigacza, a kończący się w ogonie, stanowi podstawę ukostnienia każdego ptaka. Do mostka przyczepione są w pasie barkowym oprócz łopatek i obojczyków także t. zw. kości „krucze“, na których opierają się kości skrzydeł. W skrzydle widzimy te same zasadnicze kości, co u zwierząt ssących w ich odnóżach przednich z wyjątkiem kości dłoni i palców, które są uwstecznione (w zaniku). Wszystkie mają kształt rurek, wypełnionych powietrzem, które przypląwa za pośrednictwem worków powietrznych, umieszczonych pomiędzy trzewiami, do tych worków przychodzi powietrze z płuc przez otwór gębowy, tchawicę i krtań.

Serce krogulca, wielkości napastrka, otacza błona, czyli osierdzie, powleczone zapasową warstwą tłuszczu. Ma ono dwa przedsionki i dwie komory; z niego wychodzi główna aorta. Dolna część serca leży nad dużą stosunkowo wątrobą, a pod nią zaczynają się jelita, jako przedłużenie przelyku i żołądka. Nad sercem widzimy duże wole i przełyk, a po obu jego stronach dwa płaty niewielkich płuc. Przepony niema u ptaków, jako u zwierząt, rodzących się poza łonem matki.

Z organów wewnętrznych zasługują na uwagę duże, wielkości daktyla jasno-różowe nerki, umieszczone tuż pod wątrobą, mały woreczek żółciowy, śledziona i duża trzuska. Śledziona w postaci małego, czerwonego ciała znajduje się między wą-

trobą, a żołądkiem mięsistym. W pętli kiszki, dwunastnicą zwanej, znajduje się trzuska. Żołądek mięsisty przyjmuje pokarm mięsny, rozmiękczone w wolu i strawiony nieco w żołądku gruczołowym, który jest rozszerzonym przelykiem i trawi mięso i kości. Pierza i sierści strawić nie może; te materiały zbijają się w małe, twarde kulki i wracają przelykiem i dziobem na zewnątrz. Spożyty z mięsem tłuszcz rozpyła w dwunastnicy żółć, a rozdrobione mikroskopijnie małe cząsteczki tłuszczu wchłaniają umieszczone w ścianach kiszek drobnitkie kosmki jelitowe i odprowadzają do krwi, która je osadza w innych miejscach ciała. Wnętrze żołądka mięsistego wyściela gruba, stwardniała błona, podzielona na równoległe pasemka, opatrzone obficie kosmkami.

W lewej stronie jamy brzusznej tuż pod wątrobą widać u samicy graniasty jajnik z kulistymi wypukłościami. Od jajnika prowadzi jajowód do steku. U samca przylegają do nerek jądra, jako dwa żółtawe ciała, kształtu fasoli. Od nich wybiega cienka cewka zwana nasieniowodem, która również uchodzi do steku.

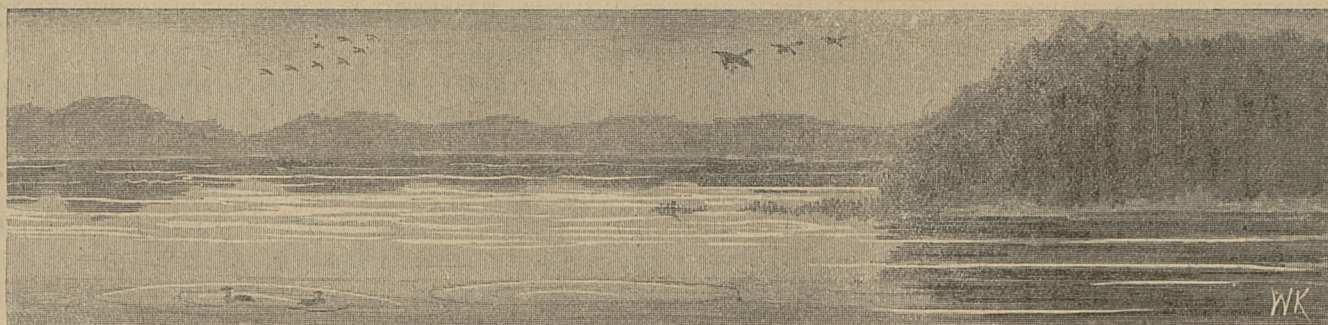
Pod cienką kością czaszki widać dwie półkule mózgowie i mózdzek, komunikujący się z rdzeniem pacierzowym.

Sklepiona wydatnie na potylicy czaszka wskazuje na wysoką inteligencję krogulca.

W skórze, okrywającej mięśnie kości skrzydłowych, a to kości ramieniowej, szprychowej i łokciowej, tudzież dłoni i uwsteczionych członków palcowych, siedzą bardzo mocno lotki pierwszego rzędu (na dłoni), drugiego rzędu (na ramieniu) i ich pokrywy. Każda lotka tkwi swą dutką w osobnym dołeczku, ich chorągiewki zaś leżą dachówkowato na sobie i stanowią zwartą płaszczyznę, mogącą stawić należyty opór powietrzu. Suknię swoją zmienia krogulec co roku po każdym wypierzeniu; staje się ona z biegiem lat coraz jaśniejsza. Krogulec nie żyje długo i usypia naturalną śmiercią po latach dwunastu mniej więcej. Z powodu żywienia się przez niego mięsem występuje u niego dość wcześnie miażdżycza naczyń krwionośnych.

(D. c. n.).

Władysław Görtler.



Z LITERATURY.

„WSPOMNIENIA MYŚLIWSKIE“, JULJANA EJSMONDA.

NAKŁADEM BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH. MAJ 1925 R.

Pierwsza książka myśliwska wielkiego poety otwiera przed nami całe skarby łowieckich przeżyć. Barwne opisy, iskrzące się wesołością i szczerym dowcipem unoszą naszą myśl ku promiennym chwilom obcowania z przyrodą, oddają wiernie niefrasobliwe, pogodne życie myśliwego, pełne humoru przygody w dobranej kompanii łowieckiej.

Opisy tyczą się przeważnie polowań na Wschodzie Polski; entuzjazm, który w opisach tych wyczuwamy, jak również i niektóre bezpośrednie słowa autora są dowodem, że ukochał on specjalnie ten właśnie typ dzikich łowów, jaki na Wschodzie naszym spotykamy. To znów ukochanie mówi na o wewnętrznej wartości autora, jako myśliwego bowiem prawdziwy myśliwy odwróci się zawsze od rzezi zajęcej w kotle, a wyciągnie stęsknione ramiona w stronę dzikiej puszczy, szumiącej pieśń wiosenną, porzuci „strzelanie“ do kuropatw lub bażantów, a pójdzie brodzić samopas po bezkresnym moczarze, skąpanym w bladym jesiennym słońcu, zasiądzie nie zważając na komary przy księżycowej polanie leśnej, aby usłyszeć stękanie łośia, lub wsłuchiwać się będzie godzinami w daleki bełkot cietrzewiej pieśni. Książkę Juljana

Ejsmonda przeczytać powinien każdy prawdziwy myśliwy.

Włodzimierz Korsak.



Juljan Ejsmond.

FATALNE TOKI.

(Ze wspomnień przedwojennych).

3

Z pół wiorsty wypadło iść szerokim gościńcem — resztę drogi na przełaj młodym sosnowym zagajnikiem. W tem miejscu już oczekiwał jeden z leśników z pękiem przygotowanego łuczywa „smolaków“ dla oświetlenia miejsc „zdradzieckich“.

Albowiem, na drodze naszych znajomych był nawet mały „brodzik“, jakich z pięćdziesiąt kroków mający, o zamaszystych, dobrych „kładkach“, które jednak dla myśliwego typu barona, oczywiście stanowić mogły przeszkodę nie lada!

Poleszuk, jak zwykle oczekując przy ogniu, kurzył swą fajeczkę z „machorką“. Baron, już wielce zdenerwowany egipską ciemnością, zmęczony półkilometrem piachów, podniecony tajemni-

czością oczekiwania, został żywo zaniepokojony widnem zdalą płonącem ogniskiem! „Czy nie bandyci czasem?“ (i to w podobnym zaciszu, w przedwojennych warunkach!) „Ale gdzież tam, ekscelencjo! — to gajowy Wasyl Sytnica oczekuje na nas“. A pewny to człowiek? nie „chuligan?!“ „Trzydzieści lat już, na służbie rządowej“. Doszli narreszcie. Tradycyjne „zdrowia żelaju, panoczek! — Wasze piewoschoditelstwo?“ — z pocałowaniem obu rąk dygnitarskich, wręczenie widełkowatych kijów dla przejścia „kładek“ i przy „rembrantowskim“ świetle płonących „smolaków“ — hajda! —

1) Apasz, rzezimieszek. 2) Zdrowia życzę, Ekscelencjo!

dalej! Jakto? to mam iść przez podobne brewniaki? „que diable l'emporte — c' est de l'équilibristique du cirque Ciniselli!¹⁾ — przekłeta, Clo-Clo“ i jej głupie kaprysy!“. „Proszę, niech Ekscelecja dwoma kijami oprze się o dno! — tak. A teraz bokiem nogi na kładki! — ot tak! — bardzo dobrze! — Wasyl „wperod!“ — „swiati na ciom beregi!²⁾“. Mentalnie — jak elegantka w salonie na najlepszym parkiecie — poleszuk w mgnieniu oka, już się znalazł na przeciwległym brzegu brodu! „Un singe, un vrai gorille!³⁾“ — pomyślał baron „Ależ ślizko!“.

Po pierwszym zaraz kroku, poślizgnawszy się, po kolana był w wodzie! „Czort woźmi!“ — przy czym już koloratura „istunno“ rosyjska z genealogją protoplastów i najdziwaczniejszych kombinacji miłosnych antenatów, posypała się, jak z rogu, obficie z ust wielkiego śwatowca.

Zimna woda, niby z kuracji księdza Kneippa, i mogące bardzo szwankować z tego powodu londyńskie „ineksprymable“ niemiłe nasunęły refleksje!

„Nie pójde dalej—za nic na świecie!“ „Niech Ekscelecja opierając się na obydwóch kijach rączy dać mi swe ramię!—Ja prosto pójde wodą!—Wasyl! — „nazad“ — „bierz pod żebry gienierała!⁴⁾—tak! choroszo! — no, pomaleńku! — z Bohom!“.

Jakoż nareszcie udało się przeholować barona. Kilka razy padając, to w jedne, to w drugie objęcia znalazł się za brodem na „suchem“. „Uff! — co za gorąco „je suis tout dans une sueur!⁵⁾“ — ależ to trudne — a daleko jeszcze? „Stupakow dwieście panoczek⁶⁾“ i „treba“ żeby usłyszeć „jak zapijae“.

„No to chodźmy!“ — krok w krok, potykając się o nierówności gruntu, korzenie — płacząc się w gęstych „bahunach“ i wrzosach jakoś przemordowali się na tę odległość! „Tu zaczekamy — niech Ekscelecja siada na stołku. Proszę bardzo. Powinien prędko zagrać! „A papierosa można zapalić?“. Jeszcze daleko, to można (a żeby ciebie cholera! — pomyślał — mógłbyś, bałwanie jeden, i pod samym „takim“ głuszcem delektować się cygarem nawet.

Cisza bajeczna z doskonałych najdoskonalsza ogarnęła naszą trójkę. Raptem! — przeciągłe, długie wycie! „Co to takiego?“ „to wouki!“ — najspokojniej rzuca leśnik. „Des loups! — A nie napadną na nas?“ „Durnyj — sowsim durnyj⁷⁾, z politowaniem zrodziło się w głowie Wasyla, a takij ważnyj panok! — szutka skazat — generał“.

¹⁾ Do wszystkich djabłów — to już ekwilibrystyka cyrku Cinisellego! ²⁾ Świec na drugim brzegu! ³⁾ Małpa! — prawdziwy goryl! ⁴⁾ bierz pod ramię generała! ⁵⁾ Jestem cały spocony. ⁶⁾ Kroków dwieście — i usłyszymy go jak zaśpiewa. ⁷⁾ Głupi a przecież podobnie ważny Pan! — generał — łatwo powiedzieć!

„Proszę być spokojnym! — jesteśmy odpowiednio uzbrojeni! — w razie czego zawsze obronimy Ekscelecję“.

Cisza znów pochłonęła wszystkich — Baron jednak pomimo zapewnień i obecności aż dwóch swoich podwładnych funkcjonariuszy, czuł się bardzo a bardzo markotnie!

Wtem! — jęki niby duszy pokutującej — rozległy się i płynęły ponad uspioną puszcza...
„A to znów, co takiego?“ „Bąka huczenie“.

„A co to bąk?“ „Rodzaj czapli!“ Z oddali, surmy niby hejnału bojowego metaliczną jasnością dźwięków zalały, oświeciły, zda się, mroki i zagłębia najskrytsze lasu.

„Żórawy! — „trubaczi“ — hołos podajut! — treba wraz hłuszec kłapać pocznie!¹⁾“.

Aż dreszcz oczekiwania do szpiku kości przejął całe jestestwo barona. Zmęczenie niezwykle, noc nieprzespana, całe otoczenie tak do stołecznych warunków niepodobne, cisza dźwiękami snów gorączkowych wibrująca! — ludzie ci leśni! wreszcie chęć zdobycia trofeum, wszystko to zdenerwowało go do tego stopnia, że rzeczywiście o całym świecie zapomniał. Chwile te rozbudziły w niem psychikę li tylko myśliwego, atawistyczne pierwiastki przodków w duszy niemal każdego człowieka drzemające rwące się do upragnionego, jedyne go celu — zwierzyny! i jeszcze raz zwierzyny!

„Chr, chr, pst! — Chr! Chr! pst!“... jak mara nad głowami przeciągnęła chrapiąca słonka... kszyk-bekas, gdzieś zabczał!

Ptaszyna żadnemu ornitologowi nieznaną — w sośninie zakwiliła.

— A głuszca nie słyhać! — i nie słyhać!...

„Czy nie zapomniał o „granu“ Hryhor? — a może go wcale niema na drzewie? — nie może być!“ „Szo ce take, Wasyl“ — szepnął do wtajemniczonego także gajusa — „paczemu ne spiwaje?“ „A kto jeho wiedaje — treba szob grał — dniaje, panoczek!²⁾“ — przytem porozumiewająco szturchnął w bok Igora Arkadjewicza — „treba szob spiwat — poniali, panoczek?³⁾“.

Nie pozostawało nic innego do zrobienia — jak zastosować ów ostateczny, heroiczny środek!

Podobny dureń i profan wszystko jedno, nic nie zrozumie! Wmówi się w niego, że głuszec gra! — ale on nie słyszy tylko! — i basta! Wykonać trzeba prędko i sprawnie — bo, jak rozwidnieje — może być gorzej!

„Wasyl, czujesz?“ — aż dysząc cały niby to,

¹⁾ Żórawie trębacz — głos podają — zaraz głuszec kłapać zacznie. ²⁾ Kto jeho wie? trzeba żeby grał — rozwidnia się. ³⁾ Trzeba żeby grał — rozumiał pan?

ze wzruszenia — szepnął do starego wygi! Ten ostatni odrazu zrozumiał wysmienie całą sytuację! „Panoczek! Wasze Prewoshoditelstwo — klapaj! jej Bohu! — klapaj!” „Nic nie słyszę!” „O! o! piałe! — połnu piesniu propiek!” „Gdzie? — co mówisz! Idźmy!” — „Sza! — cicho! — stać!” — bez ceremonji już począł chwytając za generalskie ramię żelaznemi zda się kleszczami swych rąk — Wstrzymał go Wasyl. — „Ostrożnie! — niech się rozspiewuje! — Ot! klapaje znów! — O! o! — nowa pieśnia! ja pójdę wperod! — proszę się trzymać za mój pas! — ot! tak! — po dwa kroki! —

sza! sza! — stać! — dobra! — jeszcze dwa! — dobre! stać!

Igor Arkadjewicz ledwo mógł nadażyć za sprytnym leśnym komedjantem. Generał aż omdlewał z gorączkowego transu myśliwskiego.

Niema już na świecie ani karjery! — ani Petersburga i jego stosunków, ani Ministerstwa! ani Clo-Clo nawet! — jest tylko tajemnicze drzewo na którym ogromny czarny ptak ze snu dopiero obudzony zamiera w szale miłosnym — i którego zdobyć trzeba! — i zdobędzie się niezawodnie!

(Dok. nast.).

1) Gra — pełną pieśń — prześpiewał!

Adam hr. Rzewuski.



„Spowiedź Myśliwego”.

Przyjacielu, Towarzyszu łowów płacz i wdziej szaty ciemne i okryj się żalobą bo naprawdę żalność niezmierna Twoją duszę myśliwską ogarnie.

— Chodziły po tych lasach, po kniejach naszych, jak panie władne, groźne, czarne królowe — a teraz niemasz ich i z nimi kwiat młodzieży zginął.

— Chronił je las, oszczędzały aury zmiennej nastroje — śniegu nie było, więc spokojnie, niepłoszone żerowały w borze i na polach, ryjami siwemi rolę odwracając — łączyły się w stada i nie niepokojone poddawały się wielkiej tajemnicy przyrody. — A potem... czując maleńkie nowe życie utajone w sobie, szukały ukrycia i ciszy w głębiach kniei.

Aż zawyły wichry zdradliwe i lodowatym tchnieniem zasnuły ziemię w śnieżną szatę.

Wyrzał myśliwy na siwe pola, na okiścią przywalone bory i serce mu się radowało, bo oto upragniona chwila łowów nadeszła — i okiem jastrzębia chciał przebić gęstwinię zagajeń by dojrzeć w głębi wielki, siwy łeb starego odyńca.

Trzy dni polowałem — kilka razy w ostatniej chwili wstrzymałem zabójczy trzask sztucera, z obawy, by sędziwej matki kula nie przeszyła. — Ta sama troska dwa razy sprawiła, że za spóźnionym strzałem jedynie pęk szczeci czarnej zasypał ślady zbiegłego wycinka.

Aż wstał dzień mroźny, słoneczny, roześmiany. — Ruszona głuchemi krzykami obławy maciora powstała z barłogu ciepłego i, zjeżona od zimna, truchtem ruszyła, brzegiem „Pustej Łączki” przez krze i sośniaki. — Dojrzałem kształt krótki, ciemny, krępy, szersść nastroszoną i spokojnie śmiertelną kulę posłałem, wierząc, że rzeźki wycinek szedł dnia tego złożyć mi głowę w ofierze.

Zgryziony i smutny stałem później wpatrzony w głąb zaśnieżonej kniei, lecz krew w żyłach szybko krążyła a zmysły czuwały, bo tu dojrzano pojedynka. — Bo tu na „Zamyślu” on, pan wszechwładny tych błot i wzgórz, jedliną a modrzewiem pokrytych, zaszył się w gąszcza — wtem drgnąłem: łeb wielki, a siwy, uszy ogromne, bokobrody jak wiechcie, kosmata warga nad kłem trochę wzniesiona. —

Stoi o kilkanaście kroków odynieć wymarzony, a oczkiem czujnym mierzy gęstwę w której się ukryłem — szczęknął sztucer zjadliwie i.... legła druga maciora! — Urwany krzyk wyrwał mi się z gardła, a gdy inni dalej dzików szukali, ja z tępych bólem wzrok w mrocznej głębi lasu utopiłem.

Wtem strzał znowuż, zwycięzkie szczekanie piesków odważnych — ścisnęło mi się serce przecuciem dziwnem... i trzecią samurę wyciągnęli na sanie.

Obok trzech wielkich ciał czarnych, siedemnaście łebków pasiatych i ryjków tyleż na śniegu

leżało, a słońce zimnemi blaskami zachodu świeciło w blade powieki, co nigdy nie widziały tego cudu, jakim jest wiosna w kniei polskiej.

Sztucer w kąć rzuciłem i wyję moralnie, a las skarży się skargą cichą, szumem koron jodeł stuletnich, jękiem wiatru przysypującego ślady zbrodni. — Przyrzekam Ci, Przyjacielu, że więcej w Marcu na dziki polować nie będę.

Twój Towarzysz Łowów
St. Z.

17 Marca 1925-go r.

Uwagi starego śledziennika.

Myśliwstwo prawidłowe i racjonalna gospodarka łowiecka licznych mają wrogów.

Największym wrogiem jest człowiek, *homo*, (ale nie *sapiens* — lecz *ferox-rusticanus*, najczęściej) bez kultury, uszanowania cudzej własności, chciwy, łapczywy, mordujący bez zastanowienia się wszystko, co się tylko rusza i sierścią lub pierzem jest porośnięte, stare czy młode, czy dopiero w zalążku i rozwoju embrjonalnym.

A więc niszczący tak dobrze wysiadujące samice jak jej jaja lub nieradne jeszcze potomstwo, młode zające. sarniątka, kotne samice i t. p. — byle tylko posiąść, złapać, spożyć lub głodem zamęczyć a przedtem niewolą udręczyć. Człowiek od dzieciństwa do starości o instynktach drapieżno-zwierzęcych, rysich, bez zamiłowania do tworów przyrody, bezkrytyczny, to i sam nieraz z łupu swego korzyści nie ma, a zwierzynę niszczy i drugiemu szkodę przynosi. Człowiek bez duszy i rozumu — *homo bestialis*.

Innym typem tego gatunku ludzi jest kłusownik — *homo fur* — czyli poprostu złodziej.

Jest to indywiduum nieco szlachetniejsze, bardziej wybredne, byle czem się nie zadawałające, więcej myślące, czasem z polotem pseudorycerskim, odważniejsze, ambitniejsze, w swoim pojęciu za myśliwego się uważające. Mniej jest szkodliwe od swego powyżej opisanego pobratymca, gdyż rzemiosło swe wykonuje dopiero w wieku dojrzałszym i przy pomocy broni przez myśliwych używanej, a wskutek tego łatwiej swoją czynność zdradza.

Typ ten oddawna znany, rozmnożył się jednak w czasie ostatnich długoletnich wojen niebywale, zapewne w mniemaniu, że wszystko co na placu, to nieprzyjaciel — lub że to jest łup wojenny jemu słusznie należny, lub w najlepszym razie własność niczyja, bezpańska, *res nullius*.

Na szczęście, w miarę zamieniania miecza na lemiesz, w miarę ustalania się stosunków państwowych i prywatno-prawnych, typ ten nie ogarnia już tak masowo ludzi — lecz cofa się w granice przedwojennej ekspansji a choć tu i ówdzie silniej się jeszcze dzięki zrabowanej broni zaznacza — to jest nadzieja — przy dobrych chęciach i woli, a większej spężystości organów ładu i bezpieczeństwa, jakoteż surowego wymiaru sprawiedliwości — zbrodniczość ta zmniejszy się do minimum a kłusownictwu oddawać się będą tylko ci, którzy nigdy nie mieli i nie mają nic do stracenia.

Dalszym typem człowieka kłusownika, ale najwstrętniejszym, jest *wnykarz* — ta hyena w ludzkiej postaci, lubująca się tylko w trupach. *Wnykarz* jest z natury podły i tchórzliwy o zupełnie przytępionych instynktach ludzkich, kłusownik-oprawca, chwytający zwierzynę w pętle.

Walka z tym typem jest trudna. Nędznie odziany, zgarbiony, udając że szuka w lesie jagód lub grzybów lub że zbiera drobinę chrustu na opał, spogląda z podełba na wszystkie strony, czy go kto nie śledzi i nie podpatruje, a narzędzie tortur i śmierci dzierży niewinnie w zanadrzu w postaci marnego skrętu, kradzionego drutu. Gdy się upewni, że go nikt nie widzi, umieszcza zdradliwe druciki na przesmykach sarni i zajęcy a często i u wyjścia jam lisich. Po sprawiedliwości powinien on tym samym rodzajem śmierci ze świata schodzić, gdyż nie wart lepszej.

Następnym wrogiem są zwierzęta, niby to domowe, lecz mimo to drapieżne. Są to psy, wałęsające się samopas po polach lub lasach, lub towarzyszące pastuchom, częstokroć nawzajem się do łowiectwa zachęcające i sobie pomagające. Zmyslniejsze psy polują na własny rachunek gromadnie

i planowo, podzieliwszy między siebie odpowiednie role.

Trzecim wrogiem racjonalnego wykonywania polowania i strzeżenia tego dobra, są niewłaściwe, niestosowne i demagogiczne ustawy łowieckie, mylnie do tego częstokroć przez władze interpretowane i zbyt niektórym niedoroślą jeszcze warstwom ludności schlebające.

Również zbyt pobłażliwe ocenianie przestępstw i stosowanie niskich kar, nie odstrasza namiętnych kłusowników i wnykarzy od zaniechania swego rzemiosła — co przyczynia się do zubożenia kraju, zmniejszania się zwierzyny — ba, nawet zanikania całych gatunków fauny, jak np. u nas bobra, żubra, łosia i t. d.

Czwartym z całego szeregu szkodników — jest — *sit venia verbo* — zły myśliwy.

Ulegalizowany dokumentami posiadania broni, prawa polowania i tp. nie zna lub nie chce znać taki pan ani etyki myśliwskiej, ani praw przyrody i życia zwierząt. Nie krępuje się względami sąsiedzkimi, kłóskami elementarnymi, wpływami atmosferycznymi i klimatycznymi, szkodliwymi dla stanu zwierzyny, a gdy trzyma się ślepo kalendarza myśliwskiego, to zdaje mu się, że wypełnił wszystko co do myśliwego należy i jest myśliwym sprawiedliwym.

Poluje od świtu do nocy, i na nie byle jaką zwierzynę, bo kszyki, dubelty, pardwy, kaczkki i cyranki nie warte są jego strzałów — szarak — panie dobrodzieju — to jego ulubiona zwierzyna — a przytem najłatwiejsza i najtańsza do zdobycia. Przed

pierwszym październikiem wie już, gdzie go szukać trzeba. Taki myśliwy wybierze „na pomyka“ do końca jesieni każdego zajaczka z pod bruzdy — dostanie każdego koziołka wychodzącego z lasu — choćby jeszcze parostków wytartych nie miał — a największą uciechą jego jest zabić jedną kulą 8 lub więcej dzików, strzelając np. do prośnej maciory w lutym lub marcu w barłogu na 15 do 20 kroków.

Takich myśliwych, niestety, jest bardzo dużo i kto wie czy nie coraz więcej.

Jeszcze o jednej pladze myślistwa opowiem. Jest nią pewien species ludzkich szkodników, zakłócających wzorową i planową gospodarką niejednego z właścicieli, nieproszonych lecz wprasujących się przy sposobności przyjazdu na komisje, lustracje, kontrole i tp. Typy znane również z literatury, w rangach i rolach rozmaitych prystawów, sprawników, kontrolerów, inspektorów etc. Przyjeżdżają ze strzelbami na komisje i proszą o pozwolenie na polowanie. Cóż właściciel ma w tym wypadku zrobić? Odmówić takiemu dygnitarzowi niepodobna, bo będą dasy, fochy i niekorzystne załatwienia sprawy. Z westchnieniem więc pozwala takiemu gościowi przejść się po polu ze strzelbą i z niemalem uczuciem ulgi i radości objuczonego zwierzyną komisarza, żegna.

A propos więc takich i tp. myśliwych temi słowami do Boga westchnąć radzę:

„Przed takimi myśliwymi chroń nas Panie, gdyż z kłusownikami sami sobie damy radę“.

H. M.

Wspomnienia żołnierza myśliwego.

3

Chodziło nam głównie o otoczenie antylop i zamknięcie ich w trójkącie, podstawę którego miał stanowić mój oddziałek strzelców, w wielkich od siebie rozstawiony odstępach. Skrzydła dzikusów rozbiegły się w dwie przeciwne strony i przepadły nam z przed oczu niepostrzeżenie. Długo szliśmy wolnym krokiem naprzód ku pasącemu się stadu, zanim nas ono spostrzegło. Na nasz widok znieruchomiałe zwierzęta z podniesionymi wysoko głowami ciekawie czas jakiś nam się przyglądały, poczem zmieszawszy się uderzyły w przeciwną stronę, lecz tu już skrzydła czarnych myśliwców zabiegły im drogę. Trójkąt był zamknięty, zwierzęta mieliśmy w środku, na znak Buszmena ruszyliśmy owalem naprzód. Zaczęła się wesoła gonitwa. Lekkie antylopy natrafiwszy na skrzydła

Beczuanów i Buszmenów, a parte ich wrzaskiem zwróciły się w skośnym do nas kierunku. Niemal z błyskawiczną szybkością zbliżamy się do siebie i gdy miałem je na 150 kroków od siebie posłałem im dwa strzały na spotkanie. Po drugim jakiś rogal tęgi dał ogromnego susa w górę i jak kłoda zwałił się na ziemię, pierwszego, jak mi się zdawało, spudłowałem. Bartek jednak zauważył, jak zwierzę drgnął po mej kuli, lecz zebrał siły i poszedł za stadem. Wkrótce jednak zauważyliśmy, jak jedna sztuka oddzieliła się od reszty i pozostała daleko za niemi. Wysłałem B. z paru strzelcami i po kilku godzinach przywieziono do biwaku ślicznego kozła „gnu“. Mieliśmy zatem dwie piękne antylopy „gnu“. Antylopa ta jest podobną do konia i byka, wielkości rocznego żrebaka,

z grzywą i ogonem konia, o łbie bydlęcym, w wygięte ku przodowi wole rogi uzbrojonym, i z racicami. Podróżnik Angort Pingle nazywa gnu zlepkiem wielu zwierząt, a choć posiada ona dużo cech antylopy, w całej postaci swej i ruchach ma coś bydlęcego. Jest wrażliwa jak bawół na kolor czerwony i na widok jego zawzięcie bije po bokach ogonem i kopie ziemie racicami. Zaskoczona niespodzianie nie okazuje zbytniego przestachu, zdaje się nawet nieznacnie niebezpieczeństwa w zetknięciu z człowiekiem, często nawet zbliża się do strzelca, osobliwie gdy ten ma coś czerwonego na sobie i atakuje go, a biada

mu, jeżeli nie ujdzie zawczasu przed nią. Nawet huk pierwszego strzału ich nie przestrasza zbytnio, gdyż odbiegłszy kilkadziesiąt kroków zatrzymują się i powracają do śmiałego ataku. Są bardzo lekkie i szybkie w biegu, a w sprzeczności do innych antylop nie idą kupa, lecz wyciągniętą długą linją, nie wyprzedzają się i raz obranego kierunku w ucieczce nie zmieniają nigdy. Trzymają się w stadach dużych, lecz niestety podlegają wszystkim chorobom bydlęcym, wyniszczającym je bardzo. Gnu tu nazywają europ. myśliwi „Wilde beast“.

(D. c. n.).

Wł. Czerniejewski.

W Czarnej Puszczy.

(Z Kowieniszczyny).

Witła nas Czarna Puszcza, witła nas niedawnych swych panów. I choć na duszy smętek dziwny osiadał za straconem, drogiem, a dziś brutalną ręką wrogów wyrwanem, zbrukanem i zniszczonem — szmer wiośniany i chóry ptasząt wpały w nas otuchę i nadzieję zmiany ku jaśniejszemu jutru.

Pamiętam, kiedy to z drogim ojcem zwiedzailiśmy naszą puszcę, a przyjmowała nas zwartą ścianą na horyzoncie i tajemniczym szumem potężnych drzew. Dziś świeci bliznami — długimi jak okiem sięgnąć, martwemi rzędami dzielonek.

Choć nasza rana się nie zagoiła, lecz chęć usłyszenia hymnów przebudzowej kniei ciągnęła nas przez dziesiątek wiorst roztopów wiosennych.

I oto jesteśmy przy niej, my jej panowie i słudzy. Słońce powoli kryło się za drzewa — ciepło było...

Ogrzana ziemia parowała...

Ptaszęta rozpoczynały swe piosnki wieczorne i rozmaite tony brzmiały ze wszystkich stron lasu.

Zbliżyliśmy się do leśniczówki. Dawniejszy, stary leśniczy wyszedł nas powitać z rzewnymi łzami; i jego nie szczędzi przemoc brutalna, precz wygania w świat, bo on Polak!

Po godzinnym odpoczynku idziemy na stanowisko w ostęp zwany „Szafarnią*”) — tam to najlepiej ciągną słonki. Stanęliśmy w środku rewiru na małej polance obok starego lasu.

*) Ostęp zwany „Szafarnią“ otrzymał swą nazwę z dawnych lat, kiedy rąbano pierwsze dzielonki. W tym rewirze na polanie stała chatka szafarza (zajęcie jego: doглядanie wyrębu i wypłata robotnikom)!

Już tylko ostatnie odblaski zachodzącego słońca barwiły niebo jaśniejszą barwą i te wciąż bladły, rzedły, ginęły... Cisza niezmierna w powietrzu, słychać dokładnie każdy trel drozda-śpiewaka, który się usadowił na szczycie prastarego świerka, dalej piosnkę drugiego... trzeciego...

Inne drobne ptaszęta: sikorki, kowaliki, dzięciołki skaczą, uwijają się i wciąż swiergocą, śpiewają...

Lecz niebo już zbladło i lekki wiaterek wieczoru musnął nas po twarzy... Czas obrać miejsca. Kuzyn mój wybrał stanowisko koło gąszczu młodej dzielonki, ja zaś na skraju starego lasu. Nabiłem strzelbę i całą uwagę skupiłem w słuch. Gdzieś wysoko nad szczytami drzew zabrzmiał tajemniczy głos baranka — to bekas rozpoczyna swój lot. Nad polaną przeciągnął z brzęczeniem czarny żuk, koło leśnej drogi, drugi z szumem przeleciał i znowu cisza...

Leśni śpiewacy milkną; czasami przez sen odezwie się sikorka, lub zaskrzeczy przestraszona czemś sójka, może szarak wyrusza z legowiska na wieczorny żer, a może być chytry mikita wykrada się na polowanie?

Drozd tylko nie przestał piosnki i głos jego brzmi coraz to czystiej, okazał w wieczornej ciszy. Zapala się śpiewak szary, jak gdyby chciał spróbować, czy zdoła tak, jak słowik, przy pełni księżyca całą noc prześpiewać. Wtem... co to?... coś świsnęło raz, drugi zachrapało i szybko przeciągnęła koło mnie słonka. Strzeliłem... pudło... słonka opadła nieco i wydając swój dziwny zew

pośpieszyła uwiadomić inne, że czas już na wieczorny ciąg.

Przebrzmiało echo wystrzału, ucichł nawet drozd, lecz znowuż rozpoczyna swe skromne, a tak miłe dla ucha myśliwego piosnki.

Zwolna zapadał zmierzch... pierwsze gwiazdki błysnęły na północy, zaszumił wiaterek i przyniósł z oddali wioskowych psów szczekanie i smętne tony harmonji...

Jakiś dziwny smutek owładnął mną, posępna żalność wpiła się w me serce i czarne żalobne myśli kłębiły się w mózgu: zabili ci ojca, nękają zbolałą twą matkę, niszczą z rozmysłem twe gniazdo rodzinne, szarpia kawałami tę ziemię ukochaną, w proch obracają marzenia młodzieńcze, twej duszy wieczne zadają katusze! — a ty nic... nic nie możesz, i nic nie znaczysz!

Gdybym był choć dzieckiem jeszcze, z konwulsyjnym płaczem padłbym na tę ziemię najdroższą, wydartą przemocą i łkałbym, łkałbym, łkał...

Wtem strzał... drugi... ocknąłem się... A to kuzyn strzelał; radosnym głosem krzyknął mi, że trafił. Lecz baczność... oto i na mnie ciągnie... słyszę jej głos... a oto i widzę nad ciemną smugą dzielonki... chwila bicia serca... lecz co to? raptownie skręciła w bok i zginęła za drzewami — i znowu oczekiwanie.

Biała mgła podnosi się z leśnych polanek i rzeczułek; wprzód snuje się jak pajęczyna tuż, nad ziemią, lecz za jaką godzinę okryje tumanem dolinki, zawiśnie nad rolą i kłębić się będzie

w nocnej martwocie, tworząc złudne, czarodziejskie jeziora, rzeki, oceany. Wiaterek przyniósł z łąk i błot żab rechotanie, które jak zgodne chóry, skoro jedne umilkną, drugie dalej pieśń głoszą. Dalekie chrapnięcie zwróciło mą uwagę w jaśniejszą, zachodnią stronę nieba i oto szybko wylatuje z za zbitych w jedną ciemną masę wierzchołków drzew — długodzioba.

Błysnął mój strzał... coś spadło... po paru minutach miałem w ręku tajemniczą słonkę.

Mieliśmy jeszcze możność parę razy strzelić i zabiliśmy z kuzynem 3 sztuki.

Później trudno było już spodziewać się strzału do nich, lecz czar zbliżającej się nocy owładnął nami i pozostaliśmy na polance.

Powietrze chłodziło — zapadał nocny zmrok. Gdzieś nad leśną strugą na brzegu puszczy zawiódł czarodziejską swą piosnkę słowik, zawtórzył mu drugi skryty w zieleniejących już splotach wierzy płaczącej i piosnki ich łącząc się z subtelnym szmerem strumyka, rechotem żab — tworzyły wspólnie koncert natury, przygrywającej tworzącym się cudom — baśni z lekkich oparów...

Wtem słowiki zamilkły... niebo jaśnieje i powoli wznosi się, zrazu czerwona, coraz bardziej żółknąca tarcza księżyca.

Ozłociła martwemi promieniami leśne polanki, zawisłe morza mgieł, wkradła się w puszcę ciemną, zaśniła srebrem i złotem na falach strugi.

I oto znowu załkały słowiki w nocnej, głębokiej ciszy.

Bolesław Prawdycz.

Choroby wilka.

O chorobach wilków, pomimo ich blizkiego pokrewieństwa z psami, wiemy bardzo niewiele. Wiadomo nam tylko, że podlegają one parchom i wściekliwości. Szczególnie w pierwszych latach po wojnie zdarzały się bardzo liczne wypadki zastrzeżenia wilków lub lisów z zupełnie wypełzłym włosem. Przypuszczalnie musiały się zarażać tą skórną chorobą od trupów koni, a jest powszechnie wiadomem, że konie, szczególnie wojskowe, w tym okresie masowo podlegały parchom. Ostatniego oparszywiąłego wilka widziałem w roku 1923 i mam wrażenie, iż w obecnej chwili choroba ta już u nich minęła.

Wściekły wilk staje się w najwyższym stopniu niebezpiecznym dla człowieka; o ile unika on ludzi i ucieka przed nimi w normalnych warun-

kach, o tyle dotknięty tą straszną chorobą, sam ich poszukuje i na nich się rzuca. Znane są liczne wypadki wpadania wściekłych wilków do wiosek, na podwórka, nawet do sieni chat przez otwarte drzwi. Jak to wyraźnie wskazuje przytoczona statystyka, niebezpieczeństwo spotkania wściekłego psa nie może być nawet porównanem z niebezpieczeństwem, grożącym ze strony szalonego wilka. Pies najczęściej poprzestaje na ukąszeniu w rękę lub nogę i rzadko rzuca się na piersi, kąsając w twarz; wilk zaś zwykle przewraca swą ofiarę i straszliwie ją gryzie, skierowując swe ukąszenia na piersi, twarz i głowę.

Według profesora bakteriologii przy uniwersytecie w Bukareszcie dra Viktora Babes'a (Traité de la Rage) na 1924 obserwowanych wypadków

pokąsania przez wściekłego wilka, bez stosowania szczepienia, było 62% zakończone śmiercią, a ogólnie uważa profesor, że u pokąsanych w głowę wzrasta ten procent, bez szczepienia, nawet do 90.

Remlinger, dyrektor instytutu pasteurowskiego w Konstantynopolu (Traité de la Rage) mówi: „Osoba pokąsana przez wściekłego psa ma szans zachorowania 1 na 6, a gdy podda się szczepieniu 1 na 200; pokąsana zaś przez wściekłego wilka, bez szczepienia, posiada szans zachorowania i śmierci 1 na 1,66, pokąsana zaś mocno w głowę 1 na 1,11, przy leczeniu metodą klasyczną Pasteura 1 na 5. nawet na 6, i przy stosowaniu metody używanej w Bukareszcie 1 na 15“.

W wydaniu warszawskim z roku 1911 „Wodowstręt u ludzi“ dra Wł. Palmirskiego i dra Zen. Karłowskiego znajdujemy, że leczono w warszawskim zakładzie pasteurowskim od roku 1887 do roku 1909 trzydzieści trzy osoby, pokąsane przez wściekłe wilki, oraz, że ostatni taki wypadek zdarzył się w byłej Kongresówce w roku 1904.

Ciekawą statystykę w tej sprawie posiada dyrektor zakładu pasteurowskiego w Wilnie dr. Witold Orłowski.

Zawdzięczając nadzwyczajnej uprzejmości wielce szanownego doktora, otrzymałem te wymowne cyfry. Z dat umieszczonych w „Statystyce szczepień ochronnych przeciw wścieklicznie“ dra W. Orłowskiego z lat 1897 do 1914, a dotyczącej byłych guberni: Suwalskiej, Grodzieńskiej, Kowieńskiej, Wileńskiej, Witebskiej, Mińskiej i Mohylowskiej, otrzymałem następujące zestawienie:

ROK	Ilość osób pokąsanych przez wściekłe psy	Ilość osób pokąsanych przez wściekłe wilki	Ilość osób zmarłych od ukąszeń wilka
1897	37	—	—
1898	188	4	—
1899	250	8	2
1900	235	23	7
1901	406	14	4
1902	448	4	1
1903	367	10	4
1904	415	21	7
1905	497	19	—
1906	419	—	—
Razem	3271	103	25

Z cyfr tych wynika, że od roku 1897 do r. 1914, na objętej statystyką przestrzeni, było pokąsanych przez psy 9774 osoby, a przez wilki 130.

Korzystam też z łaskawie udzielonego mi pozwolenia Szanownego Doktora i przytaczam z powyżej wspomnianej statystyki niezmiernie ciekawe opisy, które malują całą grozę i niebezpieczeństwo spotkania wściekłego wilka.

ROK	Ilość osób pokąsanych przez wściekłe	
	psy	wilki
1907	686	—
1908	766	9
1909	873	4
1910	1143	9
1911	885	2
1912	771	1
1913	681	2
1914	702	—
Razem	6503	27

„Kalenik Wasyl lat 10, ze wsi Kukołówka, pow. Ihumeńskiego, gub. Mińskiej, pokąsany przez wilka, podejrzanego na zasadzie sekcji o wściekliczność, 5 marca 1903 r. Rany wprost straszne: cała głowa zorana zębami wilczemi do kości. Naliczyłem 7 ogromnych ran na głowie, jedną głęboką i szeroką ranę na dolnej wardze, jedną głęboką ranę na prawem ramieniu. Chory zmarł 5 kwietnia na wściekliczność“.

„Wilk napadł dwóch pastuszków pod lasem, chłopcy wleźli na małe brzoźki, które uginały się pod ich ciężarem i z nich kolejno spadali, a wilk ich kolejno kąsał. Obaj zostali prawie na śmierć zagryzieni. Wypadek miał miejsce w gub. Minskiej“.

„W gub. Grodzieńskiej w pierwszych latach obecnego stulecia, w zimie wieczorem napadł wściekły wilk w szczerem polu chłopskie wesele, powracające z cerkwi do wsi i pokąsał pięćdziesiąt kilka osób“.

„Na zakończenie wspomnieć należy o dwóch jeszcze strasznych wypadkach, jakie się zdarzyły we wsi Hołby, Postawskiej włości, pow. Dziśnieńskiego, gub. Wileńskiej, dnia 25 sierpnia 1905 r. Elżbieta Paczkowska lat 30 i córka jej Marja lat 8 poszły po jagody do lasu. Tu napadł je wściekły wilk, córkę zagryzył na miejscu, a matka zmarła w godzinę po wypadku“.

Bolesław Świątorzecki.

REMINISCENCJE.

Wszystko przemija — zostają jeno wspomnienia, — wspomnienia dawnych zamierzchłych lat, odkrytych pyłem zapomnienia, siecią tajemniczego uroku spowitych, lat bogatych w niezwykle wydarzenia wielkich łowów, wspomnienia kniei obfitujących w zwierza wszelakiego rodzaju. Z jakim skupieniem ducha odczytujemy opisy tych łowów, tak barwnie nieraz kreślone. Wczytując się duszą w karty historii łowieckiej, uprzytamniamy sobie wielkie czyny naszych praociców, którzy w ostępach puszczy i kniei zmagali się z turami, potykali z niedźwiedziem w dzikich matecznikach.

Nieubłagane koleje losu wyniszczyły lasy i knieje, te naturalne dzikiego zwierza schroniska, niosąc pod hasłem cywilizacji, zagładę temu wszystkiemu, co w precudnej, niezgłębionej Księdze Przyrody, jako jej nieodłączne siły, figurowało. Pod razami siekiery i piły legły stare olbrzymie dziady-dęby, buki, świerki, jodły, cisy, jawory, Legły biedne, głucho na ziemię padając. Przerzedziły się lasy, a wraz z ich trzebieżą, nikną dziedzice leśni, którzy w konarach i liściach starych dębów, buków, jodeł, przed złym człowiekiem, schroniska szukały. Niknie tur, żubr, łos, niedźwiedź, jeleń, odynec, kozica, dalej głuszec, jarząbek i. t. d., te królewskie isticie ozdoby kniej naszych. Biedni wygnańcy daremnie szukają innego schroniska. Stała im się wielka krzywda. Do ich odwiecznych siedzib wtargnęli źli ludzie. Człowiek sprofanował brutalnie ich sanktuarium, odkrył i zniszczył dane im przez Stwórcę naturalne schroniska, ich tajne dziedziny. Wyrwali im z głębi serca sekret najdroższy, odebrali największe dobroskarb: samotność, spokój, wolność — życie!

I ginie w zatrważający sposób sędziwy zwierz gruby, razem z pięknymi starymi drzewami, które go do snu tuliły. Nie ma on dla siebie odpowiedniej ostoi. Zły człowiek toruje drogę cywilizacji poprzez trupy tych naturalnych dziedziców wielkich ostoi leśnych, tych schronisk, tak bogato przez naturę wyposażonych.

Tęsknicą zawodzą gorzkie skargi, które dochodzą z tych, od zagłady ocalałych, uroczych kniej i ostępów, w których, zda się, kwili sokół, huczy puhacz w cudne wieczory letnie, niosąc złowróbną wieść; skarży się na złych ludzi, żalonym zawodząc głosem i klangor ciągnących żórawi, i królewska słonka, wzbijając się ponad olszowym laskiem, chrapaniem złowrogo obwieszcza, tym, którzy zdolni zrozumieć jej dźwięki, że źle się dzieje na świecie.

Na obszernych mszarach w ciemne noce słyhać tajemne głosy, przypominające znikomość i marność świata tego.

Do tych precudnych zakątków, kędy poprzez konary i cienie leśne w smętne wieczory przesu-



Jeleń.

J. Fałat.

wają się korowody nimf i rusałek, oraz plejady gnomów, pod przewodnictwem bogini Djany, szepcząc do ucha łowcy-romantyka, tajemne misterje, wzlata myśl i dusza nasza. Na tle tych wspomnień, jak na harfie eolskiej brzmi silnem tętnem nasz hejnał łowiecki!

Mimowoli duszą całą zlewamy się z ukochaną Matką-Naturą, która do łona swego chętnie przytula wszystkich bez wyjątku tej ziemi pielgrzymów, zarówno bogatych jak biednych, dobrych jak złych, tych wszystkich tej ziemi tułaczy, którzy z niej czerpią swe siły i otuchę do walk życiowych, w jej kartach tajemnych odnajdują przeobfite bogactwo życiodajnych nauk wielkich i z niej się uczą życia.

Niewyczerpane tajniki natury, zakłète w mroczne gęstwiny ciemnych borów całej rozległej Ojczyzny naszej kochanej, dają rozumieć swe wielkie misterje jedynie prawdziwym łowcom, tym wielkim miłośnikom przyrody, naturalnym spadkobiercom naszych dawnych rycerzy.

Stefan Ostrowski.

Myśliwsko-wędkarskich wspomnień parę.

Na szerokich stepach południowej Ukrainy, w tem miejscu, gdzie Dniepr, przebiwszy się przez porohy, skręca na południowy zachód i rozlewa się szerzej, tworzy on naddnieprzańskie „pławnie”— po obydwu stronach na setki wiorst wzdłuż i na dziesiątki wszere ciągnące się niskie zalewne łąki, porośnięte w znacznej części wysoką ostrą trawą „osoką”, w niższych miejscach łoziną i oczeretem, na wyższych starami rozłożystemi wierzbami, i poprzecinane całą siecią łączących się z sobą rzek, rzeczek, przetoków i naturalnych kanałów, oraz pokryte nieskończoną ilością błot, jeziorok i rozległych a miałkich i błotnistych jezior „limanów”. Dalej na wschód aż do Berdiańska i Korsak-mogily idą graniczące następnie z dońskimi tauryckomogajskie stepy, w których już niedaleko Perekopu w Nowej Albanji znajdował się znany przed wojną, a nieistniejący zapewne obecnie zwierzyniec p. Falo-Feina, gdzie na 7000 dziesięciu dziewiczo niezoranego pługiem stepu chowały się na swobodzie najrozmaitsze europejskie i egzotyczne zwierzęta i ptaki do strusi włącznie.

Na zachód od Dniepru po przez Buh, Inkuł aż do Dniestru ciągną się chersońskie stepy dawne Dzikie Pola. Tutaj to jeszcze w 67-m roku ubiegłego stulecia w odwiecznych „tyrsach” Zagradowskiego stepu księcia Koczubeja, opodal od starego czumackiego szlaku, idącego przez Dawodów Bród i Borysław do Perekopu, schwytano żywcem ostatniego zapewne w Europie dzikiego konia „tarpana”, jako kilkodniowe źrebię, po zabiciu jego matki. Reszta „kosiaku” (mały tubun nieprzekraczający kilkunastu sztuk) rozpierzchnęła się i nigdy już jej ani w bliższej ani w dalszej okolicy niewidziano; przypuszczać należy, iż za Dniepr i Don daleko na wschód wykoczowała. Schwytany i odchowany na mleku koń trafił z czasem do Zoologicznego ogrodu w Moskwie; chodził nawet pod siodłem, ale zaprządz go pomimo wszelkich starań się

nie udało; wypchany po śmierci znajdował się w Zoologicznym Gabinetie również w Moskwie; przypuszczam, że jest tam i teraz.

Kraj ten cały, gdzie liczne są pamiątki i wykopaliska jeszcze z scytyjskich czasów, prowadził dosyć ożywiony handel z Byzancjum w IX i X wieku i pierwszy raz dokładnie opisany został przez cesarza byzantyjskiego i geografę Konstantyna Porfirogenetę, który, wymieniając miejscowości, rzecz charakterystyczna, cytuje zazwyczaj trzy nazwy—grecką, słowiańską i rosyjską, jak sam się wyraża; były to bowiem czasy panowania nad tym krajem waragów-russów. Różne koleje przechodził on później ale nazwy słowiańskie niewiele lub wcale się niezmieniały i przetrwały do dziś dnia jak naprzykład: porohy Nienasytiec i Kudacki, obecnie Kajdacki, wyspy Chortyca i Tomakówka, rzeki Samor, Barawłuk, Konka, miejscowość Żółte Wody niedaleko od zbiegu rzeczki Żółtej z Saksaganią i t. p. Pełne są one dla nas polaków, tylokrotnie historycznie z tym krajem związanych, uroku i wspomnień przeszłości zwłaszcza z czasów uniesmiertelnionych przez Sienkiewicza.

Po skończeniu studjów inżynierskich w Belgji los mnie rzucił w tamte strony i dziesięć lat życia spędziłem jako prowadzący hutę żelazną w Krzymorowskiem Zagłębiu, którego kopalnie b. bogatej rudy żelaznej, jakiej my w Polsce nieposiadamy, ciągną się na przestrzeń 120 wiorst wzdłuż rzek Saksaganii i Inhulki.

Na obczyźnie, niejako na wygnaniu, przy monotonnem i absorbującym zajęciu fachowem—a było nas kilku niestarych i „do światu” chłopaków: polaków, francuzów i rosjan — uważaliśmy iż nam się słusznie po pracy rozrywka należy i nie żałowaliśmy jej sobie.

(D. c. n.)

J. R.